

Narodziny Kapitana Prawicy. Tak działała Liga Polskich Rodzin

4 listopada 2024



"Po nieudanych próbach dostania się do Sejmu z list kilku kanapowych partii prawicowych Giertych zaczął kręcić się wokół Tadeusza Rydzyka – przywódcy prawicowego imperium medialnego. [...] Nie były to najbardziej zasięgowe media, ale wystarczyły, by zbudować siłę polityczną. Giertych zaczął więc kadzić wpływowemu redemptoryście przy każdej nadarzającej się okazji".

- Publikujemy fragment książki "Podcastex 2. Polskie milenium. Co zapamiętaliśmy z lat 2005-2010" Mateusza Witkowskiego i Bartka Przybyszewskiego. Wydawnictwo W.A.B.
- "W 2006 roku badania wskazywały, że w oczach Polek i Polaków Roman był najmniej godnym zaufania politykiem w kraju" – czytamy.
- "Giertych regularnie popadał w obsesję na punkcie mniejszości seksualnych" — podkreślają autorzy książki i wymieniają jaskrawe przykłady.

Rozdział o tym, że Roman Giertych nigdy nie był faszystą

Roman Giertych nie jest i nigdy nie był faszystą. Naprawdę. Uwierzcie nam.

Podobnie jak faszystami nie byli jego przodkowie, o których musimy tu wspomnieć, bo przecież jeden z najpostawniejszych (prawie dwa metry wzrostu) polskich polityków wziął się z lędźwi prawdziwie polskich i patriotycznych.

Weźmy choćby Jędrzeja Giertycha, dziadka Romana. W swoich licznych tekstach (z których część uznawana jest na skrajnej prawicy za żelazną klasykę) Jędrzej zajmował się między innymi chwaleniem Hitlera za to, że "odżydził Niemcy" (to przed wojną), oraz tropieniem żydowsko-masońskich spisków w środowiskach PRL-owskiej opozycji.

Zarówno Jędrzej, jak i jeden z jego synów, Maciej, w latach osiemdziesiątych życzliwie wypowiadali się na temat generała Jaruzelskiego. Popierali też wprowadzenie stanu wojennego. Ten drugi jeszcze w 1989 r. mówił: Obserwujemy proces przechodzenia z opierania się o Wschód do opierania się o Zachód. Politycznie nie wolno nam rezygnować z oparcia o Rosję. Zachód o polski Gdańsk bić się nie będzie. Natomiast Związek Radziecki nas militarnie ochrania, jest też wypróbowanym partnerem gospodarczym.

Gdy Maciej Giertych wypowiadał te słowa, jego syn Roman od kilku miesięcy był pełnoletni. Był już jednak politycznie zaangażowany. W tym samym roku założył Młodzież Wszechpolską – organizację odwołującą się do tradycji przedwojennego Związku Akademickiego Młodzież Wszechpolska.



A było się do czego odwoływać! W międzywojniu wszechpolacy organizowali na uniwersytetach antysemickie nagonki – atakowali studentów pochodzenia żydowskiego, usuwali ich z sal wykładowych lub wydzielali dla nich specjalne miejsca. Na łamach czasopisma "Wszechpolak" żądali ograniczenia dostępu do uczelni wyższych mniejszościom narodowym, a w uchwałach programowych stwierdzali między innymi, że Żydów powinno się pozbawić praw politycznych.

Dlaczego osiemnastoletni Roman Giertych zdecydował się tak wyraźnie nawiązać nazwą swojej organizacji do przedwojennego ugrupowania, które na antysemityzmie zbudowało swą tożsamość? Jest to sprawa niezwykle tajemnicza, bo przecież nasz bohater nigdy nie był faszystą. A jak deklarował wiele lat później: nigdy nie był też antysemitą. Ba, przez całe życie antysemityzm zwalczał.

Być może był to po prostu zbieg okoliczności lub fatalna pomyłka. Jeśli tak, to wprowadziła ona w błąd niemałą część członków nowo powstałej organizacji. Według Stowarzyszenia "Nigdy Więcej" – od dekad monitorującego działalność rodzimej skrajnej prawicy – wszechpolacy w latach dziewięćdziesiątych i zerowych dokonywali antysemickich i rasistowskich aktów na terenie całego kraju.

A to wznosili ksenofobiczne hasła podczas protestów i uroczystości, a to dystrybuowali materiały propagujące nienawiść na tle narodowościowym, a to pobili nastolatka, którego uznali za uczestnika antyrasistowskiej manifestacji. Zdarzało im się też atakować (pięściami i kamieniami) kobiety idące w Manifach oraz organizować koncerty neofaszystowskich zespołów, odwołujących się na różne sposoby do postaci Adolfa Hitlera.

Mimo zacieklego filosemityzmu Romana Giertycha założona przez niego organizacja wyraźnie kojarzyła się Polakom z antysemityzmem. W odrzucaniu tego rodzaju konotacji nie pomagały wyciekające od czasu do czasu do mediów zdjęcia z nacjonalistycznych popijaw, których uczestnicy radośnie hajlowali.

Przyłapani usprawiedliwiali się na najdurniejsze sposoby. Na przykład działacz MW Maksymilian Gibes hitlerowski gest wykonany w pubie tłumaczył chęcią zamówienia pięciu piw. Wysoko postawiony w organizacji Wojciech Wierzejski o analogicznym zachowaniu Tomasza Poletka (bliskiego współpracownika Giertycha) powiedział, że to wcale nie był gest nazistowski, a podobne wykonywał Jan Paweł II. A gdy do mediów wyciekły zdjęcia samego Wierzejskiego, szampańsko bawiącego się na skinheadzkim koncercie, bohater zdarzenia nazwał osoby dzielące się takimi materiałami "pospolitymi gnidami", "sprzedajnymi prostytutkami" oraz "volksdeutschami".

Jednak wyżej wspomniani to jedynie płotki – nawet jeśli część z nich piastowała w którymś momencie wysokie stanowiska. Najgrubszą rybą tego środowiska w latach zerowych był bez wątpienia Roman Giertych, a to z uwagi na "zobowiązujące" nazwisko oraz niewątpliwe talenty organizacyjno-retoryczne. Te ostatnie pokierowały go ku polityce.

Po nieudanych próbach dostania się do Sejmu z list kilku kanapowych partii prawicowych Giertych zaczął kręcić się wokół Tadeusza Rydzyka – przywódcy prawicowego imperium medialnego, na które składały się rozgłosnia Radio Maryja i ogólnopolska gazeta "Nasz Dziennik", a od 2003 roku również Telewizja Trwam. Nie były to najbardziej zasięgowe media, ale wystarczyły, by zbudować siłę polityczną. Giertych zaczął więc kadzić wpływowemu redemptoryście przy każdej nadarzającej się okazji.

Serwilizm wobec toruńskiego duchownego szybko przyniósł owoce. Z połączonych mocy Młodzieży Wszechpolskiej, Rodziny Radia Maryja (tak określali się odbiorcy mediów ojca

Rydzka) oraz kilku niszowych środowisk prawicowych zrodził się Kapitan Prawica, czyli partia o nazwie Liga Polskich Rodzin. Ugrupowanie zaledwie parę miesięcy po powstaniu wprowadziło we wrześniu 2001 roku kilkadziesiąt osób do Sejmu i Senatu. Grupę niby niewielką, ale głośną i charakterystyczną, w dużej mierze odpowiedzialną za nakręcanie antyunijnych lęków przed referendum decydującym o wejściu Polski do Unii Europejskiej. Mimo że wyrazistych postaci w tej formacji nie brakowało, wciąż najbardziej rozpoznawalny był Roman Giertych, który nie został kandydatem LPR-u na prezydenta chyba tylko dlatego, że był na to o rok za młody (partia wysunęła więc jego ojca Macieja).

W Sejmie kolejnej kadencji znalazło się miejsce jedynie dla kilkunastu mandatów LPR-u, ale – o czym pisaliśmy w poprzednim rozdziale – były to mandaty kluczowe dla utworzenia koalicji rządzącej z PiS-em i Samoobroną. A jednym z najbarwniejszych ministrów w tej i tak niezwykle barwnej kadencji był Roman Giertych, któremu przydzielono resort edukacji.

Nasz bohater kierował szkolnictwem przez rok i trzy miesiące i ach, cóż to był za czas dla polskiej oświaty. Uczennice i uczniowie nie obdarzyli nowego ministra szczególnym uczuciem, czemu dali wyraz niedługo po nominacji. W dużych miastach organizowano strajki, podczas których Giertychowi zarzucano faszystowskie inklinacje (przypominamy: absolutnie bezpodstawnie!). Protest pod siedzibą Ministerstwa Edukacji Narodowej został spacyfikowany przez policję, co minister skwitował krótko i twardo: "Nie będę jednak rozmawiał z grupami powiązanymi m.in. z SLD i Kampanią Przeciw Homofobii".

Czy tylko SLD i KPH nie pałały miłością do Giertycha? Nie tylko. W 2006 roku badania wskazywały, że w oczach Polek i Polaków Roman był najmniej godnym zaufania politykiem w kraju. Przebijał pod tym względem nawet Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Leppera, a to niemałe osiągnięcie.

Giertych nie próbował jednak przekonać do siebie centrowego wyborcy. Zamiast tego wpadał na możliwie najbardziej kontrowersyjne pomysły. Już w wakacje roku 2006 – gdy okazało się, że matury nie zdała ponad 1/5 abiturientów – minister postanowił objąć amnestią część z tych, którzy oblali. Co – na marginesie – zostało odczytane jako niezbyt zgrabna próba przypodobania się uczniom.

Giertych argumentował, że niektórzy maturzyści zapłacili swoistą karę za to, że należeli do pierwszych, testowych roczników tak zwanej nowej matury (wprowadzonej zaledwie rok wcześniej). I że to nie fair, żeby z tego powodu dziesiątki tysięcy osób miało rok w plecy.

Pojawiało się jednak kluczowe pytanie: czy ta amnestia jest legalna? Giertych odpowiadał, że jak najbardziej, bo udało im się w MEN znaleźć lukę prawną. Plot twist nadszedł pół roku później, gdy Trybunał Konstytucyjny uznał decyzję za niezgodną z konstytucją i ustawą o systemie oświaty, co wywołało niemały chaos – finalnie podjęto decyzję o niezmiennianiu zasad "w trakcie gry" i amnestią objęto roczniki 2006 oraz 2007.

"Chaos" to zresztą słowo klucz potrzebne do zrozumienia okresu urzędowania Giertycha w ministerstwie. Co więcej: przez całą kadencję ani minister, ani jego otoczenie nie potrafili oderwać się od skojarzeń z nacjonalistyczną proveniencją. A im bardziej nie potrafili, tym częściej w ogóle nie próbowali.

Giertych regularnie popadał w obsesję na punkcie mniejszości seksualnych. W marcu 2007 roku podczas zebrania unijnych ministrów edukacji w Heidelbergu stwierdził, że świetnym pomysłem byłoby uchwalenie europejskiej Karty Praw Narodów, która zawierałaby między innymi zakaz aborcji oraz "propagandy homoseksualnej".

I stwierdził, że w tej kwestii reprezentuje polski rząd, czemu Jarosław Kaczyński szybko zaprzeczył.

Niedługo później szef MEN umieścił w projekcie nowelizacji ustawy o systemie oświaty zakaz "propagandy homoseksualnej" w szkołach z uwagi na "szerzące się zjawisko homoseksualizmu". Gdy ten zamysł skrytykowała PiS-owska ministra pracy i polityki społecznej Joanna Kluzik-Rostkowska, Giertych zażądał... odwołania jej ze stanowiska. Premier odmówił.

Kaczyński nie zgodził się też na wykreślenie z listy lektur szkolnych między innymi Gombrowicza. Giertych rzucił wtedy w Panoramie: "Jeżeli premier chce wziąć na swoje sumienie wprowadzenie do kanonu książki promującej pederastię, niech to robi" (to o Trans-Atlantyku).

Nie lepiej wyglądali jego koledzy i koleżanki z LPR-u. Mirosław Orzechowski, sekretarz stanu w MEN, chciał, żeby nauczyciele, którzy dokonają coming outu, byli wyrzucani z pracy. A międzynarodową wesołość wzbudziła rzeczniczka praw dziecka Ewa Sowińska, która dopatrzyła się podejrzenie queerowych elementów w skierowanej do dzieci audycji Teletubisie, której jeden z bohaterów, Tinky Winky, nosił damską torebkę.

Giertychowi rzadko zdarzało się podejmować działania, które zyskiwały ogólnospołeczny poklask. Dużej części wyborców spodobał się program "Zero tolerancji dla przemocy w szkole", wprowadzony pod wpływem głośnej sprawy samobójstwa czternastoletniej Ani Halman, dręczonej i molestowanej przez rówieśników z klasy. Część założeń pomysłu była łatwa do sprzedania społeczeństwu przekonanemu, że pracownicy oświaty powinni mieć więcej narzędzi do dyscyplinowania podopiecznych. Zwłaszcza po pamiętnej sytuacji z toruńskim nauczycielem języka angielskiego, któremu parę lat wcześniej uczniowie wsadzili na głowę kosz na śmieci.

Problem w tym, że nawet przy okazji tak niekontrowersyjnej inicjatywy Giertych i jego świta musieli wpaść na pomysł – łagodnie mówiąc – dyskusyjny. Mowa tu o wprowadzeniu obowiązkowych mundurków dla uczennic i uczniów szkół podstawowych i gimnazjów. Giertych argumentował, że zmiana miała "zakończyć szkolne rewie mody" oraz utrudnić pracę kręcącym się po korytarzach narkotykowym dilerom. Jednolite stroje miały też odciążyć finansowo rodziców, zwolnionych od tego momentu z "konieczności" kupowania dzieciom drogich džinsów czy T-shirtów.

W praktyce w wielu regionach inicjatywa utrudniła życie właściwie wszystkim zainteresowanym. Na szkoły spadł dodatkowy obowiązek wybrania odpowiedniego fasonu i kroju. Ten wybór często poprzedzano konsultacją z rodzicami. A ci nierzadko wybierali stroje najtańsze, poliestrowe. Co nie powinno dziwić, wszak – pamiętajmy – mówimy o kraju z kilkunastoprocentowym bezrobociem i nienależącymi do rzadkości kilkusetzłotowymi pensjami.

W konsekwencji tysiące uczennic i uczniów musiały pocić się w niewygodnych strojach. Do tego jeden komplet często musiał wystarczyć na cały tydzień noszenia. Po zmianie rządu w roku 2007 z pomysłu zrezygnowała powołana przez Donalda Tuska ministra edukacji Katarzyna Hall, z czym Giertych przez lata nie mógł się pogodzić.

„Narodziny Kapitana Prawicy. Tak działała Liga Polskich Rodzin”. Noizz.pl, 4.11.2024.

<https://noizz.pl/spoleczenstwo/rydzyk-mundurki-i-niechec-wobec-osob-lgbt-poczatki-giertycha-w-polityce/sntrft4>